

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

*Jeziro gra... Miljon skier wytryska
I niknie wraz, jak kwiaty, lśniące rosą
Niebieskich łąk, koszone srebrną kosą,
Gdy za nią w ślad miljon nowych błyska...*

*A pośród skier-kwiatów tej rajskiej łąki
Lśni cudo-kwiat... To szklanych zamków Pani,
Czarowną grą zwabiona z wód otchłani,
Wykwita z fal, jak srebrne światła paki...*

*W zachwycie swym przechyla cudo-głowę —
Od włosów jej przedą się złote smużki —
Na wierzchnię fal znoszą jej wodne służki
Narwane z dna bukiety brylantowe...*

*Jeziro gra — grą światła miliona,
Z pod lśniących fal tryskają srebrne kwiaty —
Jawi się baśń — widziana gdzieś przed laty,
Przecudna baśń — w dziecięcym lecie sniona...*

WŁADYSŁAW ORKAN.

Blonay nad Lemanem, d. 10/II 1904.

Drogi myśli krytycznej.

(Ignacy Matuszewski: *Twórczość i twórcy. Studja i szkice*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904).

Rozpierzchłe w fejetony literackie myśli i poglądy nanizal znany krytyk literatury w koralowe sznury, na straży im postawił dwa sfinksy, zadumane tajemnicą sztuki i krytycznej myśli drogą odległą, a wszystko wyzłocił tęczą, różowymi obłoki, kwiatami i tem, co tylko uszczknąć się dało i unieść z gmachów, iskrą talentu rozgorzałych. Powstała tak całość mozaikowa, ale dziwnie spoista. Z tomu „studjów i szkiców“, które w świat puścił ostatnio p. Matuszewski, przemawiają ci wszyscy bohaterowie, którzy w latach najnowszych stawali przed najszerszą publicznością, żądni poklasku, czy wzdarda pałający, na niezbyt wielu kartach książki rozgrywały się myśli, czucia, wonie, pałające żądze i tęskne pragnienia, te wszystkie, co się ostatnimi czasy prze-

walały po świecie duchowym, na niwach literatury i sztuki słonecznych wyżynach. A jednak ich gwary przeróżne nie rażą dysonansem, gdy je p. Matuszewski obok siebie postawi i to jest właśnie tajemnica jednego ze sfinksów, które strzegą progów „Twórczości i twórców“. „Psychologją krytyki“ nazywa się, ów sfinks, w formie wstępnej rozprawki, która zakreśla granice między sztuką a krytyką i ich wzajemny stosunek do siebie omawia. Nie jest ten stosunek krytyka do dzieła sztuki ani mechaniczny, ani przyczynowy, ani pedagogiczno-fachowy, być też może nawet, że on wcale nie istnieje. Bo zdolność krytyczna, powiada p. Matuszewski, jest sama dla siebie talentem, stanowi samoistną dziedzinę działalności duchowej, równouprawnioną z innemi, a stąd dzieło krytyczne jest dziełem sztuki, dosłownie tak samo, jak dramat, powieść i t. p. Z całego szeregu analiz, tworzy krytyk całość syntetyczną, która odzwierciedla mniej lub więcej prawdziwie, czy prawdopodobnie, wewnętrzny organizm badanego dzieła,

wydobywa na jaw i uwypukla to, co jest w niem charakterystycznego, potężnego i pięknego, kreśli jego rodowód i wyznacza mu stanowisko w dziejach i granicach danej gałęzi sztuki, lub też w szerokiej sferze twórczości ludzkiej wogóle. Ani sztuka nie urodziła krytyki, ani krytyka sztuki, jak gwiazdy nie urodziły astronoma, ani astronom gwiazd.

A teraz sztuka sama — ów drugi sfinks-rozpawka u wstępu książki. Sztuka, — powiada autor, — podobnie jak nauka czysta, powstaje z naturalnego, wewnętrznego popędu, tkwiącego w głębi duszy jednostkowej i społecznej, których bierny i obojętny stosunek do natury i ducha własnego nie zadawalnia. Dla artysty przeto sztuka jest sama w sobie celem. Poeta jest światem zamkniętym w człowieku, a ponieważ ów świat przeczołwieczony, skoncentrowany, uproszczony i zharmonizowany wydaje się bliższym, zrozumialszym i sympatyczniejszym, niżeli bezmiar świata rzeczywistego, więc ogół pożąda sztuki, jako tłumacza i przewodnika w labiryncie wszechistnienia.

Takim jest cel sztuki ze stanowiska społecznego. Może być ona realistyczną lub idealistyczną, może się rozwijać w ciszy cel klasztornych, w marmurowych pałacach książąt lub mansardach koszar wielkomijskich; może rozstrzygać wielkie problemy filozoficzne lub społeczne i może, odwróciwszy się od nich, zatonać w analizie psychologii indywidualnej; zawsze jednak, jeśli będzie owocem szczerego natchnienia i rzetelnego talentu, nie przestanie być prawdziwą sztuką i spełni swoje zadanie, posuwając ludzkość naprzód na drodze do „uduchowienia“ i dążąc pospołu z etyką i nauką, ale samodziennie, to jest po własnej drodze, własnymi środkami i ku własnym celom, do przerobienia „zjadaczy chleba“, jeżeli nie w aniołów, jak marzył poeta, to przynajmniej w rzeczywistych — nie tylko formalnych ludzi. Sztuka musi iść po własnej drodze i dążyć do własnych celów. Sprowadzona do roli niewolnicy, środka, sztuka nie osiągnie nigdy tego, co może osiągnąć sama.

Z pasma takich zapatrywań snuje się w dalszym ciągu cały szereg szkiców literackich, gdzie omówioną jest i „Fantastyczność u Prusa“ i „Wzniosłość u Słowackiego“, egzotyzm w powieściach Sieroszewskiego i mnóstwo innych perełek głębokiej obserwacji, pięknego stylu i tej tendencji, która niczego nie pragnie, do niczego nie dąży, jak tylko do zrozumienia tego, co chciał sam autor powiedzieć i do rozdmuchania iskry bożej prawdziwego talentu. To też, odłożywszy książkę na bok, żyje się jeszcze długi czas tym blaskiem, wykrzesanym

z dziesiątka potężnych duchów i z tyluż dzieł ich najlepszych. I schodzą się te blaski, te różne głosy w jeden akord i górne zachwyty z czystego źródła sztuki płynące, tak, że książkę p. Matuszewskiego, mimo jej cechy analitycznej, można uważać za syntezę znacznej przynajmniej części najnowszej naszej literatury.

Fr. Jaw.



Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie.

Chcąc ocalić i zachować resztki śladów ludowego życia, zanikające przerażająco szybko a bezpowrotnie pod działaniem wpływów nowoczesnej kultury, wydał w r. 1896 ks. Ignacy Świeży imieniem zarządu „dziedzictwa bł. Jana Sarkandra“ odezwę do ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskim, w której wzywał ją do składania na rzecz mającego założyć się „Muzeum śląskiego“ starych zabytków, o ile jeszcze można znaleźć wśród ludu. Odezwa ta odniosła pożądany skutek, darów bowiem w ciągu lat kilku namnożyło się wiele i to niejednokrotnie bardzo cennych.

Ażeby zapewnić podstawy bytu i rozwoju powstającej instytucji, przystąpiono w r. 1901 do założenia na tych zagrożonych czechizacją i germanizacją kresach w Cieszynie Polskiego Towarzystwa ludoznawczego. Rezultaty zaś, do jakich ono doszło po dwuletniem zaledwo istnieniu, pod dzielnym kierownictwem tak zasłużonego a niestrudzonego pracownika na każdym polu działalności społecznej na Śląsku ks. Józefa Londzina, przeszły — można to powiedzieć bez przesady — najśmielsze nawet oczekiwania. Urządzona bowiem w r. ub. we wrześniu wystawa etnograficzna powiodła się wyśmienicie, zwiększając zbiory muzealne Tow. wielu nowymi darami. Cele wystawy zostały spełnione: zgromadzono bowiem i poznano zabytki, znajdujące się w rękach naszego ludu, zwrócono uwagę szerszych kół społeczeństwa na potrzebę gromadzenia i przechowywania owych zabytków, a wreszcie pobudzono ofiarność na rzecz Muzeum śląskiego.

Zwiększanie się zbiorów Tow. jest bardzo pocieszającym i pożądanym objawem, ale stanowi zarazem główny powód troski na przyszłość. Muzeum bowiem posiada o tyle pewną wartość, o ile można

z niego korzystać. Korzystanie zaś jest zależne od stosownego urządzenia zbiorów w stałym i bezpiecznym miejscu. A o tem dziś nawet mowy nie ma, bo uporządkowanie Muzeum jest niemożliwe wobec braku odpowiedniego pomieszczenia. Zarządzenie tej gwałtownej potrzeby jest najważniejszym obowiązkiem Tow., ażeby zbiory nie ucierpiały wskutek niestosownego pomieszczenia i nie leżały dłużej bepożytecznie dla ogółu.

Tow. liczy 54 członków. Majątek jego wynosi przeszło 700 kor. w gotówce, a w zbiorach z górą 2000 przedmiotów, mieszczących się narazie w budynku polskiej szkoły ludowej w Cieszynie.

To też, mojem zdaniem, uwaga Tow. powinna wyłącznie być zwrócona w kierunku utrwalenia bytu materialnego Muzeum, a nie rozpraszać się na ogłaszaniu drukiem prac ludoznawczych. Zamierzone bowiem wydawnictwo rocznika, o którym jest mowa w sprawozdaniu Tow., jest przedewszystkiem niekonieczne, a powtórę może narazić Tow. na straty materialne. Miejsca zaś na drukowanie prac folklorystycznych jest u nas dosyć, czy to w „Wiśle“, czy w „Ludzie“, czy w „Materiałach komisji antropologicznej“. Każde z tych wydawnictw przyjmie z całą chęcią do druku prace, jakie mają członkowie Tow. W ten sposób można przysłużyć się nauce, a równocześnie uchronić się od przewidzianych z góry materialnych strat.

Jestem mocno przekonany, że Tow. może z otuchą patrzeć w przyszłość, skoro po tak krótkim istnieniu zdołało już tyle zdziałać. Wiele galicyjskich Tow. naukowych mogłoby sobie wziąć za wzór śląskie Towarzystwo.

Z.

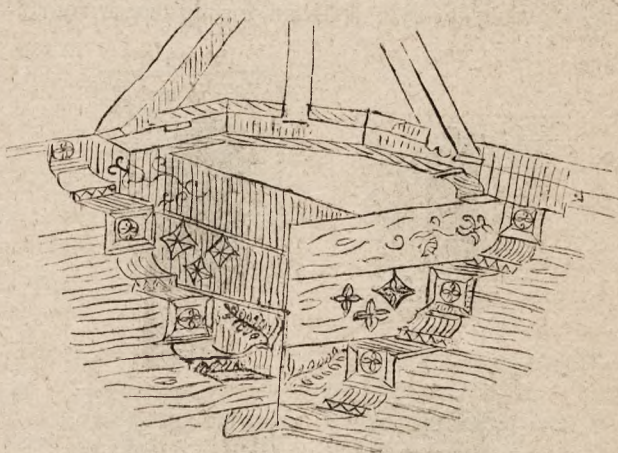


Studja nad budownictwem drewnianem.

(Ciąg dalszy.)

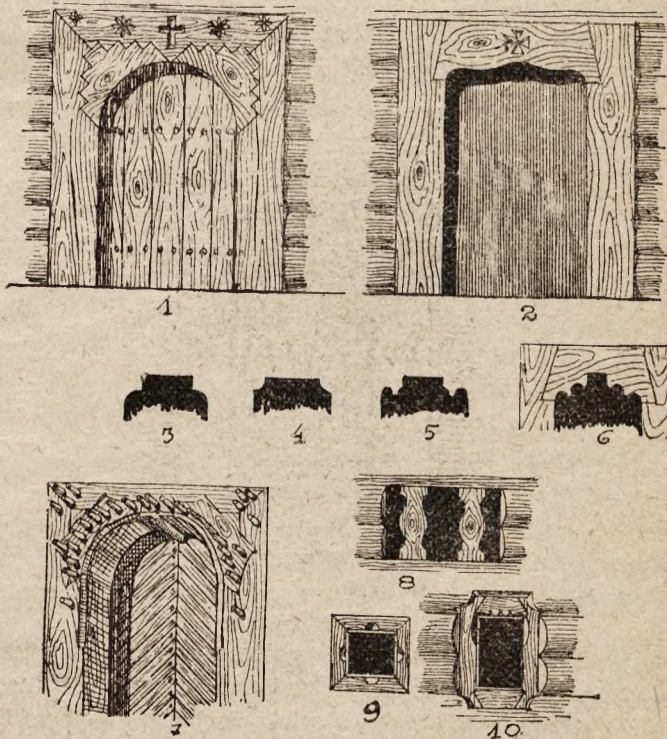
Istnieją jeszcze różnice co do genezy ryzowanego w drzewie ornamentu. Według mnie typ ornamentyki pierwotnej geometrycznej, a nawet roślinnej na Podhalu i na Żmudzi jest określony techniką tkacką, kilimową i wyszywkową, skąd dopiero na drzewo te motywy przeniesiono. Ornament szachownicowy (tafet), ilczytyje pyśmo na Huculszczyźnie są wybitnym tego przykładem.

Nie ulega wątpliwości, że okres leśny jest źródłem znowu zdobnictwa, gdzie drzewo jest prowadzącym rękę i formy tworzywem, stopienie tych



System rysia z chaty polskiej na Śląsku.

wszystkich warstw w jedno, daje mimo dalekiego poszczególnego pokrewieństwa motywów ów zasadniczy charakter sztuki u każdego plemienia w całości innej.

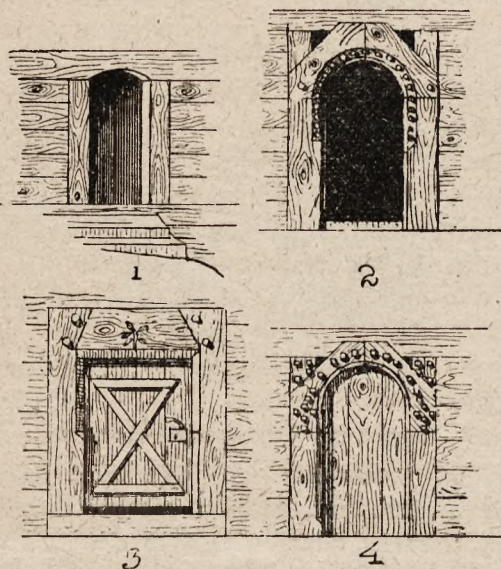


Odrzwia i okna z rozmaitych części Polski.

Jeśli więc istnieje podobieństwo pewne między zdobnictwem Podhalu i romańszczyzną, to powinowactwo powyższe tłumaczyć należy tem, że motyw tkacki plecionkowy i wyszywkowy, to jest

technika w tkaninie i we włóknie poczęta, owa najstarsza na ziemi sztuka, po rysunkach przez człowieka jaskiniowego epoki lodowej na kości gładzonej czynionych, była źródłem form u nas, w romań-

kwiatu z korzenia lub donicy wyrastającego, prostopadła.



Odrzwia z krakowskiego i z Łowicza.

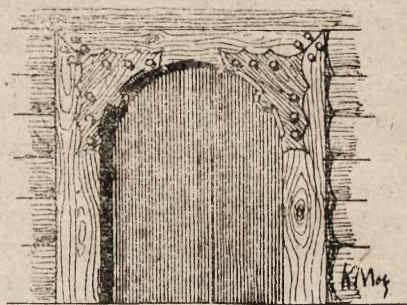
szczyźnie, na Wschodzie i w niektórych rzeczach na Polinezji istniejących.



Drzwi podhalskie.

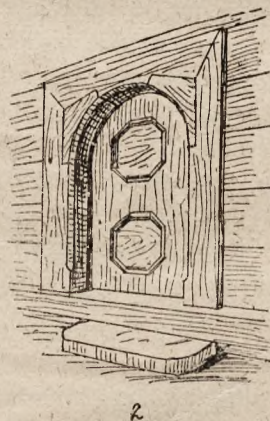
Ztąd jest ta dziwna pokrewność naszych rzeczy z wschodniami, nie przesądając jeszcze tem sprawy rzeczywistego wpływu sztuki wschodniej — perskiej i arabskiej na naszą twórczość ludową.

Wątpliwem też według mnie twierdzenie dalsze ogólne p. Puszeta, według którego położenie ornamentu u nas jest przerażająco poziome, a to ze względu na poziomo idące włókna drzewa. W istocie swojej oś ornamentyki bywa często i pozioma ale bywa też, jak w słynnym znanym ornamencie



Odrzwia z okolic Stanisławowa.

Oś zdobienia na dźwirzach zakopiańskich na ocapie idzie na poprzek włókien.
I tak być musi.



1) Sosręb huculski. 2) Odrzwia z Prus zachodnich.

Istnieje prawo przenoszenia się form w tworzywie pierwotnem pojętych na materiał inny często zgoła różny. Tak przeniosły się w romańszczy-



Szczyty dymnikowe.

źnie wątki tkackie i plecionkowe na drzewo i kamień wbrew naturze tych dwóch materiałów.

Nie może być większej antytezy tej szkolnej wyrozumowanej estetyki jak motyw plecionego sznura zastosowanego w podporze, jaką są kolumny romańskie. „Sznur to idea ciągnięcia a nie-



Sosręby zakopiańskie.

podpierania“ a przecież twórczość ludzka kpi sobie na szczęście z tych bezdusznych formułek estetycznych i nasz lud również często z zamiłowaniem



Część roślin i drzewa w ornamentyce.

i powodzeniem stosował plecionkę sznurową jako podpory słupów drewnianych.



Sosręb zakopiański.

Również formy w drzewie pojęte poprzemieniły się w starożytnej Grecji, Toskanji, w gotyku francuskim w naszym budownictwie wielkim na mur lub cegłę. Pomyśleć tylko, że przecudowny Partenon ma wszystkie części składowe uwidocznione, te które kiedyś stanowiły układ drewnianej „kolumny“ helleńskiej.

(Dok. nast.)



K. MOKŁOWSKI.

JAN ŚWIERK.

11)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Taka jestem biedna.

Nikt nie wie, ile cierpię. Na pierwszego grudnia nie opłaciłam w seminarjum. Trzewiki podarły się w kawały, kapelusz mam słomkowy i letnią okrywkę.

Co ja pocznę?

Ojczulek pyta się w każdym liście: — Jadwisiu! nie trzeba ci czego, przyznaj się szczerze.

Ale jakże przyznam się, gdy wiem, iż oni, pozostając z 15 reńskimi na miesiąc, dać mi nic nie mogą. Wpadać w długi? I któż ich potem wydzwignie? Dzieci tam za małe. Mama chorowała w jesieni.

Ach! ten rok przetrwać, ten rok!

Czuje, jak ze mnie śmieją się ludzie, gdy mijają w mieście. Muszę wyglądać jak półwarjatka, muszę wyglądać strasznie brzydko w wypelzłej pelerynce, kapeluszu słomkowym, a do tego zmęczona bezsennością i kłopotami przygnieciona.

Chwilami, zdaje mi się, tracę nawet zdolność myślenia, wnioskowania i sądzenia, bo nie jeden raz patrząc na osoby lub śledząc zdarzenia dość ważne — nie odczuwam tak żywo wrażeń, jak dawniej.

Życie obecne smutne jest bardzo.

Jest tu taki wieczny ogień pracy na termin, iż w obec niego wszystko popieleje.

W domu nieład, opuszczenie, brak wszelkiej estetyki, żadnej myśli dalszej i szerszej nad to koło sukien modnych, które z rąk się wysuwają, wynoszą z domu i znów nowymi są zastępywane, tak, iż zdaje się wszystko tu zgasło, wszystko zmałało, a tylko ciężka praca krzywdząca ciągle — stoi i — męczy, o!.. męczy okropnie!

Zima przyszła, a ciocia nie ma żadnego zapasu, ani opału, ani ziemniaków, ani cieplejszych rzeczy.

Jakkolwiek wikt tu bardzo ubogi, ja przecież i w braniu kaszy lub ziemniaków niejeden raz wstrzymuję się, lękając się, abym w stosunku ile płacę za dużo nie wzięła.

Gdy po północy położę się na tej kanapce w saloniku zimnym, nieraz nie usypiam bardzo długo.

Coś mi się roi, coś do mnie mówi, jakieś nieznanne uczucia budzą się w duszy. Zdaje mi się czasem, że jestem zła, samolubna, niepoczciwa.

Po co ja się tu wcisnęłam w mury miasta? Po co ja tu stoję? Zabrałam ubogi zarobek jakiejś panienki, któraby u cioci była szyła — zawadzam cioci i tak w ciasnym a przeludnionym mieszkaniu, biegnę co dzień do tego źródła nauki, jak w pustyni błędny wędrowiec do kępy zieleni, ale czy to starczy za wszystko i czy da wszystko?

Jaki to ważny krok uczyniłam, a jakże teraz nie wiem, czy nie zmyliłam zupełnie w drodze mego życia.

Gdybym ja była została w mej wiosce, gdybym ja była w tej cichej chatce, tę zimę tak samo przepędzała, jak poprzednie! Bo i jakież tam burze? Raz w tydzień, w niedzielę idę piechotą do drugiej wsi do kościoła, idę z ojczulkiem, który starsze dzieci ze sobą bierze, idę z gromadką włościan, która z nami gawędzi, opowiadając o zwykłych, codziennych zdarzeniach, albo śpiewa pobożne pieśni.

Potem, popołudnie niedzielne spędzamy wśród gości.

U nas tam, jak niedziela, to musi być świąteczna wizyta. Albo leśniczy miejscowy ze swą rodziną, albo ten młody profesor z trzeciej wioski, ten brunet smagły, który niby to rozpaczał, gdy odjeżdżała, albo córki księdza ruskiego... śmieszki i gadulskie naprzykrzone.

A przez tydzień zwykła robota, haczkuję wstawki, szyję wiejskim kobietom, czytam.

Co? już 2-ga po północy, a ja nie śpię.

Po co ta cała myśl?

Więc stanowczo przeprowadzamy się. Kuzynek Stach wynalazł mieszkanie o wiele lepsze, pracownia będzie obszerna, słoneczna.

Okna pracowni wychodzą na ogród sąsiedniej kamienicy. Będzie i „salon mód“ elegancki, o co się tak ciocia bardzo troszczyła, wprawdzie nie frontowy, ale duży, z oknem szerokim. Kuzynek Stach ma swój pokój zaraz obok saloniku, a wikt daje ciocia.

Z pewnością, iż dla cioci to będzie wielka wygoda, bo jeśli Stach za jeden pokój odpłaca 10 zł., mieszkanie cioci wypada znacznie taniej, a za wikt przecie parę centów przyjdzie.

Ale ja jestem z tego bardzo niezadowolniona.

Ciągłe mieć świadka, ciągłe być krępowaną przy jedzeniu, zawsze widywać go — wcale to nie wygodne dla mnie.

Odkąd on zaczął tu przychodzić, czuję się już więcej skrępowaną. Ile razy spotkam się z jego wzrokiem, widzę, iż on, jakby szyderczo mnie kry-

tykował. Pewnie! Tak lichu ubrana, zawsze w jednej i tej samej popielatej sukieneczynie, zawsze zajęta pracą, ani nawet swą grzywką nie zmartwiona, iż rozrzuca się uporczywie, a nie układa tak, jak tym pannom, co fryzują ją starannie, jakże ja muszę mu się wydawać brzydką, ordynarną i pospolitą!

Zresztą — ja ze wsi, bez wielkomiejskiego wykształcenia, co wiem, to wszystko mało, a on literat, dziennikarz, jakże umie mówić płynnie, potoczyscie, zajmująco.

Wejdzie czasem do naszej pracowni, a zaraz jakby inny świat. Opowiada jakieś nowiny, ale nie takie pospolite, codzienne, ten ukradł, albo tamten upił się, tylko mówi o rzeczach społecznych i narodowych. Czasem nawet przeczyta coś. Krótki obrazek, nowelka mała, a rzuci myśli jasnych cały snop i potem choć te same maszyny szepcą ciągle swoje: szyj, szyj, choć te same nożyce skrzypią przy krajaniu, choć te same wełny, podszewki, haftki i nici około nas, zdaje się wszakże, że coś dusze orzeźwiło i myśl poniosło za cztery ścian pracy.

Co za radość. Ojczulek dostał niespodziewanie tak zwaną remunerację, za gorliwą a skuteczną pracę, Rada szkol. kraj. przysłała mu 80 koron, więc najlepszy ojczulek przysłał mi 40 koron na zimowe potrzeby.

Gdy mi ciocia przekaz pokazała po obiedzie to i płakałam i śmiałam się, skakałam jak dziecko, gdy pierwszą lalkę dostanie.

40 koron, toż przecie suma.

Zaraz chciałam wracać i zanieść, aby opłacić za grudzień naukę, ciągle mi to na myśli, iż jeszcze tego miesiąca nie opłaciłam. Ale ciocia wstrzymała mnie.

— Czekaj moje dziecko, trzeba się zastanowić jak pieniądze rozdzielić, bo wiesz, wydatków dość.

Trzewiki przedewszystkiem. Mówi ciocia, iż trzewiki lepsze i cieplejsze najmniej piątkę będą kosztowały. A żakiet ciepły? na żakiet trzeba odliczyć 10 zł. i to już najmniej, a u żydów trzeba się będzie dobrze natargować. A kapelusz? Wszakże w słomkowym nie będę chodziła. Ciocia dobra, wyszukała jakiś swój stary kapelusz filcowy, mówi, że się da przerobić na nowszy fason, ubierze go panna Marja, dobra panienka, za darmo robi, ale zawsze trzeba kupić jakiś aksamit, jakieś piórko...

— Po co mi piór? wołam niecierpliwie, nie rozumiem dlaczego my, kobiety, mamy się stroić w ptasie, papuzie i kogucie pióra... To, co dane jest na ozdobę zwierząt, my — ludzie, mamy na

siebie wdziwać? Nie, ciociu, ja ile razy widzę tu, w mieście, całe roje pań piórami się pyszniących, myślę sobie zawsze, iż jest w tem coś indyjskiego, czy murzyńskiego. Po co pióra? nie szkoda to pieniędzy?

Ale ciocia z zapałem tłumaczy mi.

— Ty nie rozumiesz, co to znaczy ubierać się stosownie do stanowiska i sfery, w której się żyje. Nie możesz wyglądać, jak jaka najgorsza szewcówna albo służąca, musisz ubierać się odpowiednio.

Zgłupiałam.

Więc ja mam się lepiej i pyszniej ubierać jak szewcówna lub służąca, które może mają się o wiele lepiej odemnie i mogą kupować sobie piór wiele im się podoba.

— Moja ciociu! właśnie, ja gdybym się miała ubrać do mego stanowiska odpowiednio, to bym nie powinna mieć ani żakietów modnych, ani kapeluszy nietrwałych, bo ja jestem biedna i nie stać mnie nawet na to, co jak ciocia powiada kupić muszę.

— Tego nie potrzebuje każdy wiedzieć, iż jesteś biedna, ale jeśli chodzisz do seminarjum, masz zostać nauczycielką, musisz przecie do tego stosownie się ubierać.

— Jeśli chodzę do seminarjum i mam zostać nauczycielką, to przede wszystkim muszę się uczyć, uczyć i ciągle uczyć, abym stosownie do tej godności i tego posłannictwa wzbogaciła swój umysł, wyrobiła sobie charakter i wolę... a kapelusze i pióra to mniejsza.

Ciocia wzrusza ramionami, trochę nawet jakby na mnie obrażona.

— O cóż ci idzie? o tę koronę na piórko do kapelusza?

— Zapewne, bo ja winna jestem za naukę, a i jedna korona wydana na rzecz niepotrzebną, gdy mam dług, — jest już lekkomyślnością!

O! o! gdybym ja chciała opisać całą tę rozmowę, którą z ciocią na temat ubierania się wedle stanowiska prowadziłam, tobym chyba jaki artykuł o tem napisała.

Nie przekonam. Ciocia swoje i swoje.

— Ubierać się trzeba koniecznie, bo w mieście wszyscy się stroją, więc nie można wyglądać jak koczokodan. Miasto to ma do siebie, iż wymaga estetyki, szyku, piękna i ma swoje wielkie nieubłagane prawa mody.

— Przepraszam ciocię, ale myślę inaczej. Wielkie prawa mody nie byłyby nieubłagane, gdyby tylko panie zaczęły błagać o większą stałość i mniejsze grymasy. Dlaczego stroje ludowe są zawsze tak piękne, malownicze i czarujące swoim widokiem? Oto dlatego, iż nie podlegają kaprysom mody, ale właśnie nieubłagane są w swej stałości, w czem leży cecha narodowa i pamiątka tradycji. Kobieta na wsi kupi piękny gorset, który ją kosztuje 10—12, a nawet czasem i do 40 zł., ale ona gorset ten nosi 20 lat, on zawsze jest modny, zawsze ładny. Na wsi nie sortują ubiorów wedle „stanowiska“, bo kmiecycha bogaczka, która ma pieniądze schowane, ubiera się tak samo jak i gospodyni na jednym lub dwu morgach. Dlatego lud nie zna tyle nędzy, bez dachu, bez chleba, bez spokoju wśród długów, bo on nie traci na stroje więcej, niż mu praca przyniesie.

Ciocia nie lubi słuchać takich rzeczy.

Nic dziwnego. Świat jej zamknął się w „salonie mód“, a choć sama nie stroi się i często ma podarte łokcie, uważa modę za główną arterję życia... a strojenie się, za szczyble drabiny wyższych i niższych w społeczeństwie!

Gdybyż wedle tego ludzi mierzyć i cenić — toby najszlachetniejsi męże spadli w sam dół...

C. d. n.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIAŻKI.

Federowski M. Lud białoruski na Rusi litewskiej. Materiały do etnografii słowiańskiej, zgromadzone w latach 1877—1894 przez ... Tom III. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1903.

Życzenie, wypowiedziane w zeszłorocznym ocenie tomu drugiego omawianego dzieła, spełniło się nadszpiekowanie rychło. Bo oto po upływie roku otrzymaliśmy dalszy ciąg

tego pomnikowego wydawnictwa, za którego dokonanie winniśmy autorowi rzetelną wdzięczność, bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Układ naukowy, wszystkie opowiadania zapisane wiernie w gwarze białoruskiej (z czego pożytek mieć będzie nie tylko etnograf, ale także językoznawca), bogactwo wreszcie z mozołem zebranego materiału, oto trwałe zalety cennego dzieła p. Federowskiego, które mu zapewnia i chlubę i za-

sługę prawdziwą i imię jednego z najważniejszych etnografów polskich.

Tradycje historyczne, jakimi zaczyna się omawiany tom, są bardzo a bardzo skąpe na Białorusi. Z ubiegłych stuleci zachowała pamięć ludu tak mało, jak może nigdzie. Zaledwie o tem lub o tamtem wie lud cośkolwiek, ale i to, co wie, jest bardzo ogólnikowe i fragmentaryczne. Garść krótkich opowiadań: o Krzyżakach św. Kazimierzu królewiczu, Bonie,

Stefanie Batorym, wojnach szwedzkich, o Stefanie Czarnieckim, Augustie II., Stanisławie Poniatowskim, księciu Radziwille „Panie-Kochanku“, Kościuszcze, wojnach napoleońskich, zniesieniu zakonu Bernardynów, pańszczyźnie i roku 1863, mieszcząca się na 16 zaledwo stronach druku, to już wszystko, co zachowała Białoruś z lat minionych. Naturalnie — o pomieszczeniu faktów historycznych nie mówię nawet wcale, choć są tego przykłady: n. p. zakonowi Krzyżackiemu przypisano uśmiercenie zdobycia Jasnej Góry. Równiej objętości, a nawet jeszcze szczuplejsze, są podania miejscowe, w których znowu najczęściej powtarzają się wiadomości o znanych w etnografii „mogiłach szwedzkich“. Po za tem tradycja lokalna niemal jakby wcale nie istniała.

Prawdziwe bogactwo widoczne jest dopiero w dalszych rozdziałach, mających za przedmiot powieści obyczajowo-moralne. Nierównomierny ten stosunek jest zupełnie uzasadniony. Do stworzenia bowiem opowiadań na tle życia codziennego ludu, który miał na każdym kroku doskonałą sposobność do zauważenia całego mnóstwa faktów, było wiele materiału, niejednokrotnie bardzo ciekawego. Mamy tu więc opowiadania o miłości w dawnych czasach, niestałości i wiarołomstwie małżeńskim, uporze kobiet (str. 27, nr. 66, wersja ludowa motywu, zużytkowanego przez Mickiewicza w bajce p. t. „Gołono-strzyżono“), nieposzanowaniu rodziców (między innymi wersje podania o mordowaniu starców w zamierzchłych wiekach, o czem pisał prof. J. Polivka w pracy p. t. „Seit welcher Zeit werden die Greise nicht mehr getödtet?“), o bezbożności, pijaństwie i kradzieżach. Bardzo liczne są też opowieści przygodne o rozbójnikach, złodziejach, oszustach i anegdoty myśliwskie. Równie cenny i liczny jest zbiór opowiadań o plemionach i narodowościach, z którego można wiele wnioskować o poczuciu narodowym Białorusinów. Mamy tutaj Polaków, Cyganów, Mazurów, Niemców, Poleszuków, Rosjan, Węgrów i Żydów (ostatni są najliczniej reprezentowani). Wszystkie zaś te opowiadania wraz z kpinami z Mazurów i szlachty mają dla nauki wysoką wartość pod każdym względem.

Tom ten kończą dyktoryjki o nowożytnych wynalazkach, a więc: o broni palnej, gazetach, kolejach żelaznych, telegrafii, sztuce fotograficznej i wreszcie próbki współczesnej twórczości ludowej wierszem i prozą, przeważnie w formie listów pisane. Te ostatnie mają dla etnografii również niepoślednie znaczenie, jakkolwiek mimo tego dział ten bywa przeważnie pomijany milczeniem w monografiach etnograficznych, chociaż nie trudno postarać się o dokumenta do tego potrzebne.

W dodatkach mamy cały szereg uzupełnień do tomu poprzedniego, traktujących potwory mityczne (smoki), istoty w postaci ludzkiej (niedziele, śmierć), ludzi-duchów (czarodzieja, potępieńca), metamorfozę (wilkołaka), duchy złe i dobre (djabłów, anioła, św. Jerzego, św. Piotra) i podania o miejscowościach, oraz kilka-ście dodatkowych opowiadań, przeważnie o stanach i narodowościach.

Dr. St. Zdziarski.

Henryk Salz: *Błędnyimi szlaki*. Lwów: Księgarnia Polska. Warszawa: E. Wende i Sp.

Pan Salz obrał sobie trudną formę dla wypowiedzenia się — kunsztowną formę sonetu. Znać jednak, że sobie wybrał tę drogę, bo na sto z górą sonetów, niema w tym tomiku ani jednego uczciwie napisanego. Czyżby i p. Salz należał do tej coraz liczniejszej grupy poetów, którzy ustawicznie płodzą „sonety bez wyjścia“? Mam wrażenie po tym z wielkim trudem przeczytanym tomie, że tak jest. A może p. Salz chce w ilości sonetów prześcignąć Petrarę? Niebawem uda mu się to. „Spiritus flat, ubi vult“ — kiedy wszedł do p. Salza, nie było go w domu.

Język marny, tu i ówdzie mocno pohańbiony — porównania śmiałe, często z konieczności, dla rymu, zbyt śmiałe i przez to karykaturalne.

F. Gwiżdż.

PISMA. *Wiadomości fotograficzne*. Fachowe to dla fotografów-amatorów pismo, wychodzi we Lwowie już drugi rok i przybiera coraz to okazalsze szaty zewnętrzne i coraz bogatszą treść. Ostatni (5) numer tego czasopisma zawiera artykuł o perspektywie, pióra p. Józefa Switkowskiego, „Jeszcze kilka słów o gumie“ p. Mikołasza i cały szereg dro-

bnych notatek, treści popularno-fachowej.

Główną jednakowoż część numeru stanowią reprodukcje zdjęć fotograficznych, dokonywanych przez różnych amatorów, na różnych miejscach. Reprodukcyjne te, śmiało powiedzieć można, stanowią ostatni wyraz techniki fotograficznej, a każdy obrazek z osobna, to *sui generis* dzieło sztuki, jak n. p. zdjęcia p. p. Jaroszyńskiego i Kwiatkowskiego. Na jedną tylko okoliczność zwrócić należy uwagę. Oto zdjęcia te, obok fachowej swojej wartości, jako okazy sztuki fotograficznej, posiadają nadto dużą wartość krajobrazową i dlatego też należałoby je odpowiednio do ich treści podpisywać, a przynajmniej oznaczać, z których okolic kraju pochodzą. Skutkiem tego bowiem „Wiadomości fotograficzne“ miałyby także wartość dla amatorów sztuki fotograficznej, jako album pięknie wykonanych widoków kraju i t. p.

NOTATKI. *Spuścizna po ś. p. O. Kolbergu*. Dodatkowo do artykułu w num. 6. „Tygodnia“ czujemy się w obowiązku nadmienić, że cała rękopiśmienna spuścizna po Kolbergu jest przechowana bardzo starannie, jak na to zasługuje, w osobnej szafie w sali posiedzeń Akademii Umiejętności i nie uległa najmniejszemu uszkodzeniu. — Ponadto prostujemy, że monografię p. t. „Wołyń“ przygotował do druku p. Stanisław Fischer pod kierunkiem prof. Józefa Tretiaka a nie pan S. Udziela.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Niemojewski Andrzej. Stanisław Wyspiański, studjum literackie. (Biblioteka samokształcenia). Warszawa 1903. 8-ka. str. 92.

— Pusch Jerzy Bogumił. Geologiczny opis Polski oraz innych krajów, na północ od Karpat położonych. Stuttgart i Tybinga. Wydanie warszawskiego tow. popierania przemysłu i handlu. Dąbrowa 1903. 8-ka. str. III. 216 i V.

— Z. W. S. F. Pamiątki narodowe w Wilnie, uzupełnienie „Przewodnika po Wilnie“ Kirkora. Kraków 1904. nakł. St. Nowickiego. 8-ka. str. 50.

